Zeszyt 18. Lwów dnia 30. Czerwca 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA
kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark:

WYCHODZI
dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca.

W. MANIECKI
Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki, hotel europejski.

☛ Z powodu zbliżającego się nowego kwartału upraszamy Szanownych Czytelników o odnowienie przedpłaty. **Kwartalnie 1 zł. 50 ct., półrocznie** do końca r. b. **3 zł. a. w.** — W przyszłym kwartale rozpoczniemy druk dwóch nowych powieści, równie pięknych jak zajmujących. Prosimy także przyjaciół piśmiennictwa polskiego o poparcie dla „Strzechy Ojczystej", która dla swych zalet i taniości powinna by się znajdować we wszystkich domach polskich.

ZŁAMANE SERCA.

Powieść

PRZEZ AUTORA „CHORÓB GALICJI."

VI.

(C. d.) Juljan wróciwszy do Lwowa był wesół i zamyślony, szczęśliwy i zaniepokojony. W życiu tyle widział pięknych twarzy, tyle nawet osób starało mu się podobać, a przecie żadna jeszcze nie zrobiła na nim tego wrażenia, co panna Wybicka. Nie starała się o to, nie wyszczególniała go niczem, była raczej poważną jak uprzejmą, a jednak taki dziwny wiał od niej urok, że Juljan na chwilę nie mógł o niej zapomnieć. Uderzyła go od pierwszego wejrzenia, gdy cała w modlitwie zatopiona klęczała u stopni ołtarza nie przypuszczając, by ją ktoś widział i śledził; ale zajęła go prawdziwie, nie przelotnie, dopiero tam na łące, gdy wśród mgły wieczornej pomagał jej raki łowić. Zabawa sama nie bardzo była poetyczna, lecz jak poetyczne, jak piękne, jak wzniosłe były jej następstwa! Przed Juljanem roztwierał się świat nowy, do którego wzdychał od lat już kilku. W tej świątyni, którą w sercu wystawił, chciał widzieć Wandzię swoją królową i żoną. Tak jest, on czuł, że ją kochał tem uczuciem czystem, trwałem, poczciwem, które od miłostek przelotnych tak jest dalekie, jak dalekim jest kryształ fali Południowej od mętnej wody morza Północnego, jak dalekiem jest zdawkowe słowo codziennej grzeczności od prawdziwej przyjaźni i prawdziwego poświęcenia, jak dalekim jest żart od miłości! Czy ona go kochała? Trudno ją było tak prędko pytać o to, choć znowu bez trudności można było przypuścić, że i on jej wpadł w oczko. Czyż go nie prosiła, by jej z wody siatkę wyjął? A potem czy jej ręka nie drgnęła, gdy siatkę podnosząc umyślnie dotknął się jej swoją ręką? W tańcu, czyż na ramieniu jego nie opierała się chętnie?... Gdy był w Pilawicach w oczach panny Wandy była radość prawdziwa, przy pożegnaniu zaś była smutną i dłoń jego uścisnęła rączką drżącą... Nie był jej więc obojętny, nie! A co dziś nie jest obojętne, jutro może być kochane. Bo i dlaczegoż by go kochać nie miała? Spojrzał w zwierciadło... Wzrost miał piękny, czoło szerokie, włos kasztanowaty, oczy szafirowe i śliczny wąsik nad pięknemi ustami, co obok lat młodych, zasługiwało przecie na uwagę... Pocieszywszy się w ten sposób, zaczynał dalej myśleć i niepokoić się jak jeszcze nigdy. Kiedy ją zobaczy? Czy tymczasem ona innego nie pozna i za mąż nie wyjdzie? Jak zrobić, aby ją uwiadomić o swojem uczuciu i bodaj w części ją wybadać? Chodził, dumał, irytował się, cieszył i wyglądał jak pensjonarka, której serce pierwszy raz się zbudziło, nie jak mężczyzna mający lat blisko trzydzieści, który na życie powinien się już zimno zapatrywać. Na życie on także zimno patrzył, lecz nie na uczucia, które brał zawsze gorąco. Że teraźniejsze brał najgoręciej, łatwo się tem tłumaczy, że dopiero pierwszy raz w życiu doznał uczucia tak czystego i razem silnego. Dawniejsze nie były warte nawet wspomnienia... Chyba jedno uczucie dla

matki, którą nad życie kochał, a która na jego ręku umarła, gdy miał lat trzynaście, mogło stanąć obok teraźniejszego.

Już układał, kiedy znowu do Warszawy, a właściwie do Zarzecza i Piławic wyjedzie, gdy ważne sprawy do Wiednia go powołały. Główny jego ajent tamtejszy, mający w komisie obrazów za kwotę znaczniejszą, od dłuższego czasu nie przysłał grosza, i na kilka listów słowa nie odpowiedział. Zasięgnąwszy rady Storcha i Czudka, wyjechał do Wiednia. Jeżeli kiedy, to teraz podróż nie była mu na rękę. Nie tylko lwowskie interesa wymagały jego dłuższej obecności, lecz i wuj sam rad by go był teraz przy sobie zatrzymać. Biedny starzec zapadł znowu na reumatyzm, który do kilku dni tak go wycieńczył, że chory był więcej podobnym do szkieletu niż do istoty żyjącej. Boleśnie było dla Juliusza w takim stanie wuja zostawić, chory jednak sam go nie zatrzymywał, wiedząc, że od tej podróży zawisły tysiące.

Wszakże mimo pozwolenia wuja, Juljan dopóty nie wyjechał, póki Dr. Ragner uroczyście go nie upewnił, że choremu najmniejsze nie grozi niebezpieczeństwo.

Dr. Czudek bywał jak dawniej codzień u pana Czarkowskiego, którego swoim „zacnym przyjacielem“ nazywał, a chociaż procesu z sąsiadem dotąd nie wygrał, umiał tak pięknie swoje postępowanie wytlumaczyć, zwalając całą winę na sądy, że dziwak nietylko się nie gniewał, przeciwnie żałował adwokata, który tak gorliwie zajmował się dobrem swojego klienta.

W kilka dni po wyjeździe Juliana, chory czując się gorzej, kazał siedzącemu obok łóżka Wojciechowi, podać sobie arkusz białego papieru, atrament i pióro. Z największem wytężeniem pisał długo, przeszło godzinę, a gdy skończył, zasypał piaskiem, złożył papier we czworo, zapieczętował i schował pod poduszkę. Wieczorem, rozmawiając z adwokatem i lekarzem, mało dziesięć razy sięgał ręką pod poduszkę, jakby ukryty tam papier chciał wyjąć i Czudkowi wręczyć; wszakże zawsze, tknięty czemś, czego sam nie rozumiał, cofał rękę i dalej mówił o rzeczach obojętnych.

Po odejściu gości, przywołał znowu Wojciecha, a wręczając mu ów papier, rzekł:

— Mój kochany Wojciechu, wszyscy jesteśmy śmiertelni a nikt niewie kto z nas z kraju... Weź ten papier i dobrze go schowaj, a jeżelibym umarł...

— Co też Wielmożny pan mówią! — przerwał wierny sługa.

— Powtarzam ci, nikt nie wie, kto z nas z kraju... Otóż jeżeli umrę, to po mojej śmierci weźmiesz ten papier i do sądu zaniesiesz. Pamiętaj Wojciechu!

— Dobrze, Wielmożny Panie, dobrze... Chociaż na nic to się nie zdało, bo wiem dobrze, że ja pierwszy umrę. Przecie ja od Wielmożnego Pana o trzy lata starszy.

— Nic to nieznaczy mój Wojciechu. Tylko Bóg wie jeden kto z nas z kraju.

Poczciwy sługa szczerze się spłakał, wziął papier, zaniósł do swej izdebki, a owinąwszy go w dużą chustkę kraciastą, której od dawna nie używał, ukrył na samym spodzie swego kuferka, który był żelazem okuty i miał doskonały zamek francuski. Wojciech chełpił się nim jak czemś, co nie każdy może posiadać.

Przeczucia pana Czarkowskiego bynajmniej się nie ziściły. Zamiast się pogorszyć, po dwóch dniach znacznie mu się polepszyło. Mimo to papier tajemniczy pozostał w posiadaniu Wojciecha, i więcej nigdy o niem mowy nie było, jakby jeden zapomniał, że coś pisał ważnego, drugi, że napisane wziął do przechowania.

VII.

Jak według zwyczaju, wypiwszy czarną kawę w kawiarni wiedeńskiej, Dr. Czudek szedł o godzinie 3ciej z południa wzdłuż Wałów ku domowi. Dzień był pogodny, suchy, ale już trochę chłodny, zwyczajnie jak u nas we wrześniu. Adwokat szedł powoli, krok za krokiem, wspierając się na ukochanej swojej laseczce z jedwabnemi kwaścikami, i układając sobie w głowie nie mało spraw intratnych, o których prócz niego pewnie nikt nie wiedział. Zbliżywszy się do rogu kamienicy, której jeden front jest obrócony do placu Marjackiego, drugi do Wałów, spostrzegł jakąś osobę samą jedną, która na wskos biegła chodnikiem. Miała na sobie suknię czarną, bardzo skromnie lecz ze szykiem skrojoną, lekki paletocik czarny do figury i kapelusik takiegoż koloru. Na twarzy miała gęstą woalkę; od strony nadchodzącego adwokata zasłaniała się jeszcze parasolikiem, od zachodu bowiem słońce dość silne rzucało promienie.

Czudek przystanął, coś go tknęło. Wzrost smukły, kibić toczysta i wytworne ruchy tej pani, znamionowały osobę obcą, której w mieście jeszcze nigdy nie widział. Prócz tego szła prędko, jak parafianka, która ze wsi przyjechawszy biegnie, bojąc się przechodniów, lub jak osoba urodzona i wychowana w wielkiem mieście, po którem z konieczności trzeba prędko chodzić.

Coś pomyślał, spojrzał w okna swego domu, który stał o kroków kilkadziesiąt, potem na zegarek i puścił się za nieznajomą.

Ona szła krokiem równym, lecz prędkim, minęła rynek, i wąską uliczką obok kościoła Dominikanów, na placu, przed bramą arsenału zatrzymała się jedno mgnienie oka, jakby niewiedziała, którą obrać drogę, nareszcie wbiegła na schody kamienne, prowadzące ku Strzelnicy

i jeszcze prędzej niż przedtem, skierowała się ku pałacowi arcybiskupiemu. Adwokat z początku dobrze jej kroku dotrzymywał, coś sobie mruczał i od czasu do czasu, gdy wiatr suknię odgiąwszy, odsłonił jej nóżkę drobną jak u dziecka, oblizywał się lubieżnie, przyczem wykrzywiał usta właściwym sobie sposobem. Powoli jednak siły zaczęły go opuszczać; stanął więc raz i drugi, głębiej odetchnął i znowu biegł dalej. Na szczęście na drodze ku Strzelnicy spotkał próżną dorożkę. Zatrzymał ją, wsiadł, a pouczywszy prędko woźnicę za kim i jak ma jechać, śledził dalej nieznajomą okiem pożądliwem.

— Ciekawym, co to za ptaszek? — mówił sobie w duchu. — Że nie Lwowianka odrazu poznałem, przecie znam je wszystkie... Jakem poczciw, to coś przedniego! Z takim szykiem w życiu mojem tylko jedną spotkałem, ale tamta mieszka gdzieś w Radomskiem. Toż to był cukierek! Jakem poczciw tak do niej podobna, że mnie doprawdy intryguje. Jakie ruchy, jaka nózia! zwarjuję jakem poczciw!

Wyjechawszy na wyżynę, na której stoi pałac arcybiskupi, zapłacił dorożkarza, a że dobrze odpoczął, więc biegł dalej krokiem już pewniejszym. Nieznajoma ani raz się nie oglądnęła; może nie uważała, że ją ktoś ściga, a może ścigającego nie chciała ośmielać. Dopiero gdy się zbliżała do ostatniej kamieniczki jednopiętrowej, stojącej przed zamkiem, opuściła parasolik, podniosła woalkę, a obróciwszy się w samych drzwiach domu, spojrzała na idącego.

Największe osłupienie widne było w oczach jednej i drugiej osoby. Lecz nie trwało to długo. Adwokat chwycił za kapelusz i udawał, że się uśmiecha; ona zaś załamała usta ze wzgardą i obrzydzeniem, jak by na swej drodze węża spotkała.

Dr. Czudek stał przed panną Wandą Wybicką.

— Jakem poczciw — bełkotał — pierwej byłbym się śmierci spodziewał.... Całuję rączki.... wszak mam przyjemność widzieć pannę Wybickę.

— Witam pana i żegnam! — rzekła Wandzia, i nie czekając co adwokat odpowie, szybko wbiegła do sieni.

Dr. Czudek stał jeszcze chwilę przed domem, nie mogąc wyjść ze zdziwienia. Chciał myśleć, w głowie mu się kręciło — chciał coś przemówić, nie miał do kogo — chciał się obrazić za to krótkie przewitanie, nie wiedział w jaki sposób. Nie był on na tyle naiwnym by nie rozumiał, że mężczyzna ścigający osobę przyzwoitą, może łatwo narazić się na taką odprawę, ale ponieważ bał się uwierzyć, że obraził tę, którą by może najmniej chciał był obrazić, więc prędko to sobie wyperswadował, mówiąc:

— Trudno się gniewać... Musi to być zwyczaj indyjski.

Dr. Czudek dobrze pamiętał, że jego towarzysze podróży wtedy z Indyj wracali.

Przyszedłszy do domu, wezwał swoich pisarzów, których miał trzech, w języku adwokackim nazywają się oni „dependentami“ i kazał im bądź co bądź dowiedzieć się jak najprędzej, gdzie mieszka niejaki pan Stanisław Wybicki, obywatel z Radomskiego, który zapewne niedawno przyjechał do Lwowa. To samo polecił swemu faktorowi, żydkowi nadzwyczaj sprytnemu, a do wszelkich usług gotowemu, który żył ze spraw przeróżnych. Ponieważ Lwów nie jest dużem miastem, adwokat zatem był pewny, że do wieczora zbierze potrzebne wiadomości.

Jemu przez myśl nie przeszło, żeby pan Wybicki mieszkał w tej samej kamieniczce, przed którą tak krótko a węzłowato Wandzia go pożegnała. Kamieniczka była nie pokaźna, biedna i daleko od miasta położona, mecenas zaś uważał pana Wybickiego ciągle jeszcze za miljonera, który dla zdrowia syna, z córką podróże do Indyj odbywał.

Tymczasem pan Wybicki w rzeczy samej tam mieszkał. Wyjechawszy z Piławic z trzystu guldenami, które w Krakowie uzyskał ze sprzedaży ostatnich monet złotych z Indyj przywiezionych, które dawniej przeznaczał dla Wandzi na ślubny podarunek, przybył do Lwowa przed miesiącem i z początku w hotelu zamieszkał. Przekonawszy się, że dłuższy pobyt w domu zajezdnym kosztowałby zbyt drogo, a nie wiedząc kiedy i gdzie posadę otrzyma, wziął małe mieszkanko pod Wysokim Zamkiem, zapłacił z góry za trzy miesiące, i u żyda na przedmieściu Krakowskiem, utrzymującego skład mebli, kupił kilka gratów najpotrzebniejszych, resztę zaś wypożyczył, kasa jego bowiem nie pozwalała na wielkie wydatki.

Do tego mieszkania biegła Wandzia, zostawiwszy przy drzwiach adwokata.

Minąwszy sionkę dość wąską i zaśmieconą, zaczęła wspinać się po wschodach ciemnych i trzeszczących, lecz na szczęście nie zbyt wysokich, które prowadziły na pierwsze piętro. Tu zatrzymała się przy drzwiach niegdyś białych, teraz szarych, a odetchnąwszy głęboko, za klamkę pocisnęła. Drzwi skrzypnęły przeraźliwie. Weszła do małej kuchenki, w której służąca myła naczynie, ztamtąd do pokoju.

Cały apartament, w którym mieszkał wnuk senatorów ze swoją córką, składał się z dwóch malutkich pokoików, każdy o jednem oknie. W pierwszem stała na przeciw okna sofka płócienkiem obita, na której sypiał pan Wybicki. Nad nią wisiało małe zwierciadło w ramach orzechowych, a przed nią stał stół na jednej nodze, uwieńczony drewnianemi krzesełkami. Obok drzwi prowadzących do drugiej izdebki

dumała szafa szeroka i wysoka, w której ojciec i córka utrzymywali swoją garderobę, a w rogu pod oknem, stało biurko olchowe, na którem widać było kilka książek, lampę, puszkę na tytoń i przyrządy do pisania. Pierwszy ten pokoik był więc sypialnią, pracownią pana Wybickiego i zarazem salonem.

W pokoiku drugim, w którym Wandzia mieszkała, stało w rogu łóżko białą jak śnieg kapą nakryte, a wysoko wyścielone, na dzień bowiem składało się tu także pościel ojca; nad niem wisiał obraz Matki Boskiej i czarny krzyż z Chrystusem z kości słoniowej, pod oknem stał stolik białą serwetą nakryty, na którym obok małego zwierciadełka leżały przyrządy do czesania; koło pieca, ogrzewającego oba pokoiki, widać było umywalnię żelazną na trzech nogach, pod nią dzbanek fajansowy, dalej szafę z bielizną i kufry jeden na drugim poukładane. Biedno więc było, bardzo biedno, lecz mimo ubóstwa, z każdego kąta, od każdego sprzętu wiał urok niezwykły. Wszędzie czuć było pracę kobiety. Posadzka była jasna jak złoto, na meblach nigdzie pyłku, przy oknach firaneczki czyste, a kwiatki w doniczkach, boć i o tych Wandzia pamiętała, były wesołe, uśmiechnięte, kwitnące.

Obok wzorowej czystości, w ubożuchnem mieszkanku naszych przyjaciół, spotykało się ślady dawnej zamożności. Nie mówię już o garderobie w szafie ukrytej, która była wytworna, pan Wybicki bowiem, tak dla siebie jak dla córki, sprawiał zawsze suknie w gatunku najlepszym — a wspomnę li o tem, co człowieka z lepszego towarzystwa musiałoby od razu uderzyć. I tak przybory do pisania, na biórku leżące, były przedziwnie wyrabiane z orzecha kokosowego; puszka na tytoń z trzciny bambusowej, grubości nadzwyczajnej, jaką tylko nad Gangesem można spotkać, miała w koło wspaniałą rzeźbę indyjską; książki były oprawne sposobem angielskim w skórę ciemno czerwoną i miały brzegi złocone; przybory do czesania były z najprzedniejszej kości słoniowej, a obrazki których kilka na ścianie wisiało, kupione w Paryżu, malowane przy końcu wieku XVIII. na białym atłasie, miały wartość niepoślednią.

Wandzia wszedłszy do swego pokoiku, zrzuciła pęrdko kapelusz i paletocik, poczem usiadła na krzesełku przed swoją gotowalnią, i w zamyśleniu w okno spojrzała. Ojca nie było w domu. Jej twarz była jeszcze ta sama, piękna, pełna świeżości i uroku, ale w oczach i ustach widać już było ból ukryty. Nad czołem i okiem mgła wisiała — usta zrobiły się węższe i nieco zbladły...

Czyż można się dziwić? Do Lwowa jechała z radością, jak ptak, gdy go na wolność z klatki wypuszczą — roiła sobie tyle pięknych obrazów — marzyła tyle chwil szczęśliwych — a przyjechawszy potrąciła natychmiast o zimną rzeczywistość, która z bezwzględnością losu srogiego wszystkie jej nadzieje burzyła.

Ojciec wziąwszy list swojej kuzynki, poszedł do księżnej, która wprawdzie bardzo go grzecznie przyjęła, lecz zaraz z góry oświadczyła, że wątpi by jeszcze była jaka wolna posada, ze wszystkich albowiem stron cisną się teraz do kolei ludzie f a c h o w i. Na ostatni wyraz szczególny nacisk położyła. Gdy jej pan Wybicki odpowiedział, że jest gotów przyjąć posadę najskromniejszą, choćby dozorcy, księżna odparła, że takie zajęcie uwłaczałoby godności szlacheckiej, więc nikt by mu jej nie ofiarował. Zamieniwszy jeszcze słów kilka, księżna odesłała go do swego męża, ten zbywszy go ni tem ni owem posłał do hrabiego X., hrabia do barona Y., który znowu kazał mu się udać do jakiegoś inżyniera. Gdy inżynier usłyszał w jakiej sprawie przyszedł pan Wybicki, zapewnił go uroczyście, że tylko jeden książe może go pomieścić przy budowie kolei, gdyż wszystko od woli księcia zawisło. Zaczęła się znowu wędrówka od Ananasza do Kaifasza i w każdem miejscu ta sama co pierwszym razem następowała odpowiedź. A tymczasem pieniędzy z każdym dniem ubywało....

Prócz troski o jutro, prócz obawy co się stanie z nią, co z ojcem, który widocznie z dniem każdym na siłach upadał, stając się równocześnie coraz bardziej cierpkim i zgryźliwym, serce Wandzi szarpał jeszcze ból inny.

Juljana pokochała prawdziwie, serce mówiło jej to oddawna, do niego rwała się jej dusza — a tymczasem dotąd nigdzie go nie spotkała, nawet nie wiedziała czy jest we Lwowie. Może gdzie wyjechał? A czy na długo? Nie raz idąc przez miasto, spostrzegła kogoś daleko co go przypominał. Serce biło jej gwałtowniej, kilka razy musiała nawet oprzeć się nieznacznie o wystawę sklepu, i tak zaniepokojona czekała aż nadejdzie. Nadszedł, lecz to nie Juljan. Wtedy smutno jej było, bardzo smutno i na łzy się zbierało. Czyż mogła więc wątpić o swojem uczuciu?

Gdyby ojciec nie był tak zajęty, gdyby nie chodził od rana do wieczora i nie trawił długich godzin w przedpokojach możnych tego świata, którzy odprawiali go z niczem i zbywali niechętnie, chociaż nie żądał jałmużny lecz pracy uczciwej; gdyby więc nie to, Wandzia byłaby go może poprosiła, aby się dowiedział gdzie mieszka pan Juljan Rossowski, któremu powinien był przecie oddać wizytę. Wszak Juljan był w Pilawicach, a że jej ojca niezastał, nie jego w tem wina. Raz nadmieniła coś z daleka, wszakże ojciec, który tego dnia był w humorze jeszcze gorszym niż zwykle, zbił ją prędko z tropu.

— Oto loika kobieca! — rzekł — kiedy idzie

o życie, wtedy im na myśl przychodzą jakieś tam znajomości, które nie przydadzą się psu na budę. Oto loika!

Już dawniej pan Wybicki wspominał czasem o „loice“, ale odkąd z córką sam na sam pozostał, słowo „loika“ było u niego co raz częściej na ustach. Wandzia słodka, uważająca, niczem go nigdy nie rozgniewała, lecz gdy pan Wybicki, jak każdy człowiek nieszczęśliwy a nerwowy, potrzebował pogniewać się na kogoś, by swemu sercu ulżyć, więc od czasu do czasu wyrzucał córce brak loiki, co było naganą za winy nie popełnione, a co też ona z uśmiechem przyjmowała. Ojcu zaś zdawało się, że mu lżej teraz. (C. d. n.)

SZERMIERZ PIÓRA.

Powieść

WEDŁUG ORYGINAŁU OBCEGO PRZEZ H. W.

(C. d.) P. Etienne wstrząsł się cały jakoby przeszła iskra elektryczna.

— Namiętność nieszczęśliwa? Przez Boga żywego! Czyby nasz profesor miał być broń Boże! zakochanym?

Buthot pomieszany zagryzł usta.

— Eh! nie nie! To tak mi się tylko wyrwało. Li przypuszczenie.

P. Etienne nie dał się jednak zbić tak łatwo z tropu.

— Dajno pokój. Wymknęło ci się nie bez kozery. A więc rżnij prawdę. Święty Boże nie pomoże! W kim kocha się profesor? Odkąd? Dlaczego miłość jego ma być nieszczęśliwą? Czy to jaka księżniczka niedostępna, podczas wojny poznana? Cóż mu do licha! żenić się przeszkadza? Rodzina panny? he?

— Ależ ja nic niewiem panie doktorze.

— Tylko nie drukuj. Nieznośny jesteś z tem wiecznem „nie wiem“. Wiesz o wszystkiem doskonale, a mojej deskrecji możesz przecie zaufać.

— Powtarzam panu, że jest to z mej strony li przypuszczeniem. Znasz pan Ludwika, jak jest w sobie zamkniętym. Na honor, że mi się jednem słowem nie zwierzył. Jednak zaklinam pana, byś z mojej mimowolnej niedeskrecji użytku nie robił, ażeby czasem nie podać tej myśli pani doktorowej...

— Mojej żonie? — p. Etienne rzucił wzrokiem niespokojnym na drzwi, które był zamknął na szczęście za sobą. — Niech Bóg broni! Ona by poruszyła co tylko jest w mieście żeńskiego! — Bez tego dodatku, profesor urósł w oczach naszych pań na bohatera średniowiecznego. — Gdyby jeszcze skroń jego otoczył nimbus miłości nieszczęśliwej, już by nic go nie uratowało od powodzi czułości i współczucia! Kto by to się był spodziewał po naszym uczonym, cichutkim, nieśmiałym, gdy siedział skromniutko za biórkiem dniami całemi, a ja mu prawiłem godzinami, że zabija się na duchu i ciele tem wiecznem ślęczeniem, że nie długo nie będzie już w nim co rujnować. Otóż poszedł na wojnę, bił się jak lew, pisał wiersze jak Hugo i zakochał się wreszcie jak starożytny trubadur. Nie! to o pomstę do nieba wołające.

— Muszę odejść — przerwał Buthot, któremu widocznie szło o skrócenie rozmowy — na dziś wieczór, raczcie państwo mieć mnie za wytłumaczonego, gdybym nie mógł wrócić.

— Idź! idź z Bogiem! — zamruczał p. Etienne niecierpliwie — z ciebie i tak nic nie wydobędę. Postarajno się tylko, żeby tu profesora sprowadzić, a już ja mu przywrócę w głowie porządek.

Młody lekarz uśmiechnął się smutno.

— Oby się panu udało! Z mojej strony robiłem co mogłem, wszystko nadaremnie! Przeciw takiej chorobliwej melancholji nader trudno co poradzić.

Odszedł, zostawiając pana Etienne dziwnie rozstrojonego. Cała uciecha, z przygotowań na wspaniałe przyjęcie ukochanego profesora, które mu się zresztą tak świetnie wykonać udało, znikła w jednej chwili! Musiał sobie powiedzieć, że choćby i wrócił, nie jest wcale usposobiony potemu, żeby mógł ocenić należycie piękność całego urządzenia.

— Nic z naszej niespodzianki — machnął ręką rozpaczliwie. — Od kiedy od nas odszedł Jakóbek, wszystko idzie w domu niejako!

Państwo Etienne uczuli boleśnie śmierć Jakóbka. Dzień, w którym wniesiono do ich domu w trumnie zwłoki siostrzeńca, którego przez trzy lata jak służącego uważali, był najcięższym może, ze wszystkich dni ich życia. Im również jak Joannie, myśl ta spokoju niedawała, że mieli pod bokiem dziecko siostry ukochanej, to dziecko, którego stratę matka życiem przepłaciła, bo nie mogła pokonać tęsknoty, serce rozrywającej, a nie przeczuli, nie poznali, kogo mają u siebie! Oni przynajmniej byli dobrzy, przyjaźni dla niego. Joannie brakło i tej pociechy. Biedny chłopiec, jak on im był wdzięcznym, za to trochę, że od nich doświadczał. Dotąd niezapomnieli słów jego serdecznych.

— „Wyświadczyliście mi niejedno dobrodziejstwo przez te trzy lata. Jeżeli wrócę, będę starał się wiernie i uczciwie wam to odsłużyć — jak nie, to Bóg wam zapłaci za wszystko“.

Któżby mógł się spodziewać, że sługa przywieziony przez profesora Servignego, chłopiec poczciwy bardzo, ale nader niezgrabny, nieokrzesany, ograniczony zupełnie, jest synem milionera Foresta. Nazwisko narzucone mu przez jego opiekuna, wstrzymało odkrycie przez lat tyle; nazwisko siostry zmienione i jemu nic na myśl nie przyprowadzało. Gdyby była przyjechała do Francji jak Joanna Fournier, może by to było wywołało jakie wspomnienie w duszy Jakóbka, Jenny Forest, pozostała mu obcą do końca.

Prostego służącego, syna biednych ludzi, nikt nie pytał o jego losy poprzednie, zaś pan Servigny, który znał jego historję doskonale, trzymał się zawsze zanadto z daleka od państwa Etienne, w swojem odosobnieniu unikał prawie rozmowy z nimi, żeby im kiedy mogło

przyjść do głowy, robić go powiernikiem ich stosunków rodzinnych. Przypadek, rozwiązujący nieraz najnaturalniej trudne sytuacje, nic tu nie chciał uczynić. Obce nazwisko stało zaporą nieprzebitą między nim a jego krewnymi, gdy dowiedział się o nazwisku prawdziwem — wybiła dla niego śmierci godzina.

Nie można zresztą powiedzieć, czy nie postąpił z nim los łaskawie? czy nie za późno przychodził mu majątek, a z nim świetne w świecie stanowisko? Nie wszystko dostanie za pieniądze. Kto rósł dziko, zaniedbany jak Jakóbek do lat trzydziestu, nie nabędzie odrazu skarbów wiedzy, ogłady towarzyskiej, wykształcenia, bez którego nie mógł się obejść syn pana Forest'a. Może i miał słuszność Jakóbek umierający „że tak będzie najlepiej" — może życie byłoby mu jeszcze cięższe, niżeli ten pyszny obelisk marmurowy, który złożyła siostra na jego grobie jako dar jedyny... ostatni! Napis złoty w dwóch językach, francuskim i angielskim, powracał mu imię ojca, w kilku słowach skreślając jego smętne dzieje.

Prawdziwy Haulin potwierdził listem obszernym tożsamość Jakóbka. Siostra niepotrzebowała tego zapewnienia. W chwili skonu odczuła sercem, że to jej brat rodzony umiera, dała mu na drogę wieczności siostry pocałunek i łzy pierwsze jakie w życiu swojem wylała.

Stosunek do krewnych, po powrocie Joanny nie zmienił się bynajmniej. Był prawie zimniejszym jeszcze. Ona ze swej strony nic nie zrobiła, żeby go czulszym uczynić. Gdy powróciła do miasta L*, wujostwo oboje okazywali jej głębokie i szczere współczucie, lecz i teraz nieumieli trafić do jej serca, nie zyskali u niej najmniejszego uznania.

Jak przedtem taiła przed nimi wszelkie kroki przedsiębranie w sprawie odszukania brata, jak dotąd nie zdradziła się co do stosunku jej z Alisonem, tak samo zamknęła się przed nimi ze swoją ponurą boleścią; jeżeli można, była jeszcze więcej niż pierwej lodowata, obojętna, niedostępna.

Państwo Etienne, tak wrażliwi, tak chętnie podzielający swoje uczucia z drugimi, nie pojmowali wcale bolu, tem straszniejszego, im był więcej skrytym i w sercu zamkniętym. Oni rozumieli jedynie boleść wylewającą się na zewnątrz łez potokiem i skargami nieskończonemi i utwierdzili się jeszcze bardziej w przekonaniu, że ich siostrzenica jest istotą pozbawioną zupełnie serca i uczucia.

Natura Joanny, na wskróś energiczna, samoistna i samowolna, nie mogła zmienić się przez jedną noc. Słabości kobiecej okazanej bratu konającemu, nikt więcej u niej dostrzedz nie mógł. I jej przyszłość zależała od wpływu obcego, i do niej, tylko w innym sensie, można było zastosować słowa Dr. Buthot, o przyszłości Servignego. Losy jej w najbliższych dniach miały się rozstrzygnąć. Czy zastygnie na zawsze to serce pełne goryczy i zwątpienia, i zamknie się w swej dumie nieugjętej, przykute przemocą, ucząc się odtąd tylko nienawidzieć? Czy też promień szczęścia stopi te lody, rozwinie skarby uczucia w tem sercu, które dotąd jeden tylko zrozumiał? Miesiącami walczyła z tą miłością, broniła się całą siłą woli dotąd niepokonanej sama przed sobą, przyznać się do niej nie chciała. Dopiero pomyłka fatalna, myśl straszna, która o mało do szaleństwa jej nie doprowadziła, okazała jej całą głębię uczucia, siłę namiętności, mimo jej woli serce ogarniającej.

Czuła, że bez Ludwika życie stanie się dla niej męczarnią, lecz i ten ból zamknęła na dnie serca, z nikim się nie dzieląc, nikogo na powiernika nie biorąc.

Atkins zamieszkał na całą zimę w mieście L*; co do Alisona, ten czuł dobrze, że przytomność jego nie będzie pociechą dla Joanny. Odjechał też po kilku dniach, mając zwiedzić Włochy, Szwajcarję i wrócić na wiosnę dopiero do L*. Wtedy Atkins miał wziąć na siebie uprzedzenie wujostwa o stosunku narzeczonych, i porobić kroki potrzebne do ich ślubu. Dotąd państwo Etienne tyle tylko wiedzieli, że Joanna odjeżdża z wiosną do Ameryki. Misja jej była spełnioną, dotrzymała ojcu słowa danego, odszukała brata, na to niestety! żeby mu zamknąć powieki na zawsze. Nie miała co więcej robić we Francji.

W pomieszkaniu Atkinsa spotykamy właśnie Alisona, który tylko co przybył i tu wysiadł tymczasowo. Dziś nie okazywał wcale pospiechu i niecierpliwości, z jaką po raz pierwszy do L* przybywając, dążył do domu państwa Etienne, wstrzymywany i wyśmiewany za to przez Atkinsa. Teraz stał w oknie spokojnie, patrząc wzrokiem obojętnym na ulicę, jak gdyby mu wcale nie szło o przyspieszenie chwili przywitania.

Młody Amerykanin, wyglądał wcale inaczej, niżeli owej nocy, gdy uniesiony dziką namiętnością, gotów był przekroczyć wszelkie możliwe granice. Przez sześć miesięcy miał dość czasu, żeby odnaleźć samego siebie, i to mu się też w zupełności udało. Był on znowu spokojnym, zimnym kupcem, z wzrokiem pewnym spekulanta, który naprzód wszystko obrachowuje, a przytem zachowuje gładkość form salonowych człowieka dobrze wychowanego. To co wrzało w piersi pod powłoką lodowatą, zapadło napowrót w głąb tejże, i nikt by się nie domyślił, jaki wulkan płonął niedawno w tem łonie. Oblicze jego było tak spokojne, jakby nigdy nie zaznało wzruszeń gwałtowniejszych. Jeden rys tylko został mu od czasu spotkania z Joanną w zamku B*, i zdawał się wyryty na zawsze w twarzy jego: rys woli nie złomnej, posuniętej aż do okrucieństwa, aż do dzikości. Widocznem było, że ten rys wpił się w serce jego, również jak twarz srogością napiętnował, i ani na chwilę nie rozłączył się z nim przez tych sześć miesięcy.

— Przybywasz pan bardzo późno — przemówił Atkins, obok niego stojący — spodziewaliśmy się ciebie wcześniej.

Henryk obrócił się szybko ku niemu.

— My! Czy mówisz pan także w imieniu miss Forest?

Atkins wyminął odpowiedź.

— Powinieneś był pan wcześniej powrócić. Jenny wiele ucierpiała, patrząc ciągle na radość mieszkańców tutejszych, którzy raz po raz kogoś z bliskich siebie witali, gdy ona brata jedynego w trumnie tu przywiozła.

Widok podobny boleść jej podwajał. Mogliśmy wszystko troje dawno już do Ameryki odjechać.

Alison wzruszył ramionami.

— Podróż moja króciej trwać nie mogła, wiedziałem zresztą na pewno, że zyskam tylko wdzięczność, im później powrócę. Czy państwo Etienne są już uwiadomieni?

— Dotąd nie jeszcze.

— Mniejsza oto! Dziś po rozmowie z moją narzeczoną, przedstawię im się jako ich przyszły powinowaty. Trzy tygodnie, które jeszcze zostają do końca miesiąca, wystarczą do dopełnienia wszelkich formalności. Skoro ślub weźmiemy, wracamy do Ameryki. Wiesz pan zapewne że w ten sposób wszystko ułożyliśmy z miss Forest.

— Jenny udzieliła mi li wiadomości, że wszystko co się ślubu tyczy, złożyła w pańskie ręce, i że mam się do ciebie udać, po ostatnią w tej mierze decyzję.

— Dobrze! Ja też tak postanawiam nieodwołalnie. Bądź więc pan łaskaw zająć się niezwłocznie przygotowaniami potrzebnemi.

Odwrócił się znowu do okna, patrząc na ulicę. Atkins milczał chwilę, nagle położył mu rękę na ramieniu.

— Pułk Servignego, przychodzi tu jutro panie Alison.

Alison stał nieporuszony.

— Wiem o tem.

— I pan Servigny również przychodzi — kończył Atkins z naciskiem.

Henryk drwiąco spojrzał na niego.

— Wiesz pan o tem tak na pewno?

— Przecie zostać nie może, gdy całe przyjęcie jego głównie dotyczy.

— Nie przybędzie — rzekł Henryk zimno. — Po tem co między nami zaszło, nie przestąpi on progu domu, dopóki w nim mieszka moja narzeczona. Szlachetność wrodzona Francuzom i wysokie poczucie honoru na to mu nie pozwalają.

Atkins potrząsł głową niedowierzająco.

— Nie byłem świadkiem waszej rozmowy. Musisz pan lepiej wiedzieć, czego się możesz po nim spodziewać. Choćby on i nie przybył, jesteś że równie pewnym miss Forest?

Henryk nic nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko po swojemu, uśmiechem ścinającym krew w żyłach temu, co nań patrzy.

— Masz pan jej słowo, to prawda! A gdyby je cofnąć chciała?

— Nie zechce!

Atkins nie zdawał się podzielać tego silnego przekonania.

— Mógłbyś pan jednak być w błędzie. Jenny nie znajduje się już w tem ponurem osłupieniu, które ją prawie przytomności pozbawiało, gdy tyle razem boleści zwaliło się na nią w zamku B*. Milczy jak zwykle, lecz umysł jej nad czemś pracuje, a wątpię żeby jej myśl była jedynie zajętą ślepem poddaniem się twojej woli. Miej się pan na baczności!

Henryk znowu zmierzył Atkinsa wzrokiem drwiąco-litośnym.

— Czy pan to myślisz na serjo, że byłbym w stanie odjechać na pół roku, nie zapewniwszy się wpierw ze wszystkich stron. Wyzwałem Servignego. Odłożył on pojedynek po wojnie skończonej. Dziś słowem związany stanąć mi musi, a jako obrażony mam ja strzał pierwszy. Wie o tem miss Forest i wie także doskonale, że kula moja go nieoszczędzi, jeżeli nie zgodzi się na wszystko co i jak ja zechcę. Dałem jej to wtedy do zrozumienia, gdy domagała się najenergiczniej odłożenia ślubu na czas późniejszy dla żałoby po bracie. Zostawiłem jej dosyć czasu, będąc pewnym, że postanowienia nie zmieni. Idzie tu o jego życie! Tą bojaźnią trzymam ją silniej, niżeli gdyby mi dziesięć razy przysięgła. Nie będzie śmiała jednem słowem sprzeciwić się mojej woli, znając cenę krwi, którą by musiała opłacić sprzeniewierzenie się względem mojej osoby.

Atkins wpatrzył się w niego przerażony.

— I chcesz pan na prawdę zmusić ją tym sposobem do oddania ci ręki. Jeszcze raz powtarzam, miej się na baczności. Jenny nie jest wcale barankiem łagodnym, dającym się bez oporu wieść na stos ofiarny. Potrafi ona mścić się na tobie za złamane i zniszczone szczęście swoje. Zdobędziesz miljony upragnione, lecz będziesz miał wieczne piekło w domu.

Usta Alisona wydęły się pogardliwie.

— Bądź pan spokojny o nasz przyszły spokój domowy. Zdaje mi się, że jestem co do tego na równi z moją przyszłą małżonką, jeżeli jej nie przywyższam. Czas by już było jednakże pójść do państwa Etienne. Czy mogę pana prosić, żebyś się zebrać raczył?

Atkins się jeszcze chwilę zawahał.

— Panie Alison — rzekł błagająco — o czemkolwiek będzie jeszcze mowa między wami, oszczędzaj biedną Jenny! Cierpiała okropnie w tych czasach ostatnich.

— A ona czy mię oszczędzała? — odrzekł Henryk lodowato. — Dumna miss Forest była gotową, bez najmniejszego skrupułu, odrzucić mnie na bok, jak ciężar niepotrzebny, gdyby przypadkiem inne życie, nad wszystko jej drogie, nie zależało odemnie. Teraz ona w mojem ręku. Złamię jej opór, dumę upokorzę bądź co bądź!

Atkins westchnął ciężko, a gdy brał w przyległym pokoju kapelusz i rękawiczki, mruczał sam do siebie:

— Oto kojarzy się małżeństwo. Chryste Panie! Co to będzie dopiero, gdy istotnie mężem i żoną zostaną?

Część urzędowa odwidzin w domu państwa Etienne przeszła jak zwykle. Alison pozdrowiwszy panię i pana Etienne uprzejmie, znosił tym razem najcierpliwiej pytania wszystkie, dając na nie odpowiedzi wyczerpujące, prowadząc rozmowę z wprawą człowieka wykształconego i światowego. Nie okazywał niepokoju, ani chęci skrócenia wizyty. Wreszcie powstał pan Atkins, proponując mu odwidzenie Joanny, która mimo, że była o ich przybyciu uwiadomioną, nie wyszła wcale ze swych pokojów. Tu znowu odbyło się wszystko zimno, konwencjonalnie. Podano sobie końce palców, wymieniono słów kilka o podróży, o krajach zwidzonych przez Alisona, ostatniem mieście, w którem dotąd przebywał —

wreszcie wyszedł Atkins, zostawiając sam na sam narzeczonych.

Siedziała znowu naprzeciw niego, jak wówczas, gdy po raz pierwszy prosił o jej rękę. Wtedy była to młoda, kwitnąca dziewica; dziś twarz jej zawsze piękna, była bladą jak marmur, nieszczęście i boleść zostawiły już w jej rysach swoje piętno niestarte. I ona jednak „znalazła się napowrót“. Głowa była dumnie podniesioną w górę, rysy jakby skamieniałe, oko spotykające się śmiało i wytrzymujące zimno wzrok przeciwnika. Cała jej postać zdradzała raczej upor nieugięty, niżeli poddanie się bezwarunkowe na łaskę i niełaskę ofiary nieszczęśliwej. Atkins miał słuszność zupełną. Gotowała się do ostatniej, zaciętej walki.

— Po co to szamotanie się bezowocne. Nie wymkniesz się więcej z rąk moich — czytała Joanna oczyma duszy, wypisane dokładnie w fałdach czoła Alisona, dla tego też i jej brwi zmarszczyły się groźno, a usta kurczowo zacisnęły. Dwie istoty, mające wkrótce na zawsze się złączyć, stały naprzeciw siebie tak wrogo, tak zawzięcie, jakby szło istotnie o stoczenie walki na śmierć lub życie!

Oboje wiedzieli, że są na równi co do energji, siły woli i uporu żelaznego. Jedno drugiemu nie chciało na cienki włos ustąpić. Szło o to jedynie, kto kogo zwycięży. Henryk siedział wyprostowany, opancerzony powłoką zimnej, konwencjonalnej grzeczności, z którą wszedł i którą dotąd zatrzymał.

— Przychodzę, miss Forest, żądać dopełnienia zobowiązań, które przyjęłaś dobrowolnie przeszło rok temu, a tu na tem samem miejscu powtórzyłaś mi raz drugi najsolenniej. Smutkowi po śmierci brata dość się już oddawałaś, teraz proszę stanowczo o wyznaczenie ślubu naszego. Pan Atkins chce wiedzieć ten dzień dokładnie, żeby dopełnić wszelkich formalności, które na ziemi francuskiej są niezbędne. Myślę, iż wszystko w tym miesiącu się załatwi. W pierwszych dniach przyszłego miesiąca możemy do ślubu przystąpić. Dzień i godzinę raczysz pani sama wyznaczyć, czekam na jej rozkazy w tym względzie.

Joanna oddychała z ciężkością. Wstęp był mistrzowsko wybrany, robiąc prawie niemożliwem wszelkie ociąganie lub zaprzeczenie. Z Joanną jednak nie było i być nie mogło zwycięstwo tak łatwem.

— Masz moje słowo panie Alison, to prawda! i jestem gotową dotrzymać je, jeżeli po tem co doszło do twojej wiadomości, będziesz mógł upierać się i upominać o dopełnienie mego zobowiązania.

Gorzkie słowa i wzrok surowy ześlizły się równie bezskutecznie po gładkiej i lodowato zimnej postaci Alisona, którą przybrał z widocznym rozmysłem; odparł też ze spokojem niezachwianym:

— Dlaczegoż nie miałbym ośmielić się do żądania ręki, która mnie dobrowolnie przyrzeczoną została i byłabyś mi ją miss najchętniej oddała, gdyby nie ów wypadek w między akcie, któremu nie przypisuję bynajmniej tak wielkiej ważności. Ręka miss Forest jest skarbem zanadto kosztownym, żeby odrzucać ją dla jakiegoś chwilowego uniesienia, kaprysu romantycznego! Ja przynajmniej nie myślę wcale tego uczynić.

— O jednem pan zapominasz — głos Joanny drżał od wewnętrznego strasznego wzruszenia. — Dotąd miałeś pan moc dręczenia mnie i dopełniałeś zadania z całą sumiennością; od chwili naszego ślubu mnie ta rola przypadnie. Żona może stać się przekleństwem mężowi, jeżeli umie li nienawidzieć, tam gdzie kochać powinna. Strzeż się pan! Zmuszasz mnie do związku nienawistnego, a będę ci z pewnością taką żoną!

I ta pogróżka, z całą energją w twarz mu rzucona, pozostała bez skutku. Alison uśmiechnął się znowu swoim uśmiechem jadowitym i serce mrożącym.

— Nie wierzę, żebyś chciała miss prowadzić dalej romans sentymentalno-tragiczny, którym cię natchnęła ziemia francuzka. Ten cały kram po za sobą zostawimy; powietrze amerykańskie nie zdrowe dla dziwactw tego rodzaju. Jestem najmocniej przekonanym, że mistress Alison będzie nosiła moje nazwisko z całą godnością i potrafi nadal być królową naszych salonów, co udawało się tak świetnie miss Forest, gdy robiła honory w domu ojca swego. Do sielanek pasterskich nie czułem nigdy skłonności i w tym kierunku nie może się wykształcić nasze pożycie małżeńskie. Nie potrzebuje przeto być tragedją, a jeżeli ty miss chcesz je takiem zrobić, sama na tem cierpieć będziesz; co do mnie nudziłem się zawsze niepospolicie na każdej tragedji, gdyż jej po prostu nierozumiałem. I w tym razie tragika choćby najlepiej odegrana, zastanie mię zupełnie na nią nieczułym i obojętnym.

Joanna zatrzęsła się cała od ostrza tej ironji gryzącej. Czuła, że z tej strony Henryk jest nietykalnym, zrozumiała, że mści się teraz na niej za owe dumne „ja tak chcę!“ które nieraz znosić musiał. Nie darmo przestrzegał ją Atkins przed tym człowiekiem, który nie zwykł nigdy obrazy zapominać, chociaż pozornie przyjmował ją z obojętnością, oddawał jej z procentem, pięknem za nadobne i Joanna dobrze widziała, że miłosierdzia żadnego spodziewać się po nim nie może. Ta pewność jednak wróciła jej spokój zupełny. Powstała z kanapy zimna, zdecydowana, a wyraz pogardliwy osiadł na jej licu. Bezowocność tej prośby była do przewidzenia, ona jednak miała broń lepszą według jej mniemania, środek niezawodny w pogotowiu.

— Nim dalej w tej kwestji mówić będziemy, czy mogę pana prosić, żebyś raczył wysłuchać propozycji, którą mu zrobić zamyślam?

Henryk powstał również i ukłonił się na znak potwierdzenia.

— Wiesz pan, że po śmierci mego brata zostałam jedyną spadkobierczynią majątku mego ojca, i że obecnie z woli ojca testamentu, jestem już uznana za pełnoletnią. Mogę więc rozporządzać od dziś majątkiem dowolnie.

— Niezaprzeczenie! — Henryk patrzał zdumiony nierozumiejąc dokąd może prowadzić ta mowa.

— Otóż jestem gotową odstąpić cały ten majątek za cenę mojej wolności.

Henryk o krok się cofnął i zbladł jak ściana. Wzrok

dziwny, płonący wlepił w nią przenikliwie, nie można było na razie powiedzieć, co właściwie w tym wzroku się mieściło.

— Potrzebne dokumenta przygotowałam. Z nich się pan dowiesz, że nic sobie nie zostawiam prócz sumy niewielkiej, którą obecnie mam w ręku. Ona mi wystarczy we Francji na skromne utrzymanie. W stosunku do tego co panu oddaję, mówić o niej nie warto. Oddanie sądowe majątku w pańskie ręce może nastąpić każdej chwili, skoro sobie pan życzyć będziesz. Interes cały zostanie dla każdego obcego tajemnicą, oddaję panu wszystko co posiadam, byleś mi wolność wrócił.

Podała mu papiery. Henryk przyjął je z jej rąk milcząco i milcząco jeden po drugim przezierał. Tylko bladośc jego oblicza stawała się przerażającą, a papiery szeleściały dziwnie pomiędzy palcami, jakby te uspokoić się nie mogły. Wreszcie złożył papiery pomału na stoliku i skrzyżował ręce na piersiach.

— Najprzód muszę zwrócić twoją uwagę miss Forest, żebyś raczyła zmienić ton, w którym ci się podoba do mnie mówić. Nie przemawia się w ten sposób do człowieka, który całą naszą przyszłość trzyma w ręku. Nie traktuje go się z taką pogardą!

Joanna zarumieniła się mimowolnie. Głos zdradził jej uczucia, gdy mu robiła tę propozycję, jednak prędko krew zimną odzyskała.

— Nie widzę dlaczego mielibyśmy dalej jeszcze okłamywać się wspólnie — szorstko odrzekła. — Panu szło głównie o mój majątek i dlatego trzymasz żelaznemi szpony rękę, która go dzierży. Uwolnię pana od niepotrzebnego dodatku, a siebie od związku nienawistnego. Jesteś pan nadto kupcem, żebyś nie umiał ocenić korzyści interesu tak świetnego, a ja znam dobrze Amerykę, będąc sama także wychowaną, żeby nie wiedzieć, że tam podobny układ nikogo nie zdziwi i nie wyda się niezwykłym.

Joanna ani przeczuwała z jakiem igra niebezpieczeństwem. Nie ostrzegło jej nawet konwulsyjne drganie ust Alisona i syk jakby węża podrażnionego, który wyrwał mu się z piersi. Spokój jego pozorny zupełnie ją oszukał.

— Śmiem wątpić, żebyś jeszcze czuła się Amerykanką, miss Forest. Propozycja twoja trąci zanadto romantycznością i lekkomyślnością francuzką. U nas w Ameryce nikt by w ten sposób nie porzucał miljonem, żeby tylko uniknąć małżeństwa niemiłego. W ogóle zdaje mi się, żeś się nie dość nad tem zastanowiła, czem by to było dla ciebie, na łonie zbytku wychowanej, ujrzeć się raptem ubogą.

Joanna dumnie głowę podniosła.

— Mój ojciec był też ubogim, a nie wahał się poświęcić stanowiska i przyszłości całej temu błogiemu przekonaniu, że zostanie wolnym, niezawisłym. Ja dziś majątek przez niego zapracowany oddaję w myśl ojca mego, jako okup za moją wolność osobistą.

— Doprawdy? — Wzrok Henryka wpijał się w nią coraz przenikliwiej, a w głosie był jad sarkazmu piekielnego. — Myślisz pani zapewne, że w najgorszym razie można wyżyć z pensji profesorskiej. Wolnoż mi zapytać o ile pan Servigny jest uwiadomiony o tem pani romantycznem przedsięwzięciu? Jeżeli nic o niem nie wie, radziłbym pani nie dowierzać zanadto idealnym poglądom tego pana. Bądź jak bądź, heroina jego romansu była bogatą dziedziczką, mogło by to nader ostudzić jego sentymenta, gdyby ją nagle znalazł ubogą.

Oczy Joanny dzikim ogniem zabłysły. Zapomniała jak już raz srogo pokutować musiała za obrazę temu człowiekowi wyrządzoną, jego słowa drwiące wszelką przytomność jej odebrały.

— Nie przypisuj pan innym uczuć własnych. Ludwika Servigny nie można równać z panem.

Tego było za wiele! Pogarda głęboka, śmiertelna, którą czuło się w głosie Joanny i w jej oczach czytało, zdarła wreszcie maskę zimnej obojętności, którą Alison okrył był twarz swoją. Zgrzytnął zębami, jeszcze panował nad burzą, która wrzała w łonie, widocznem jednak było, że wkrótce gniewem gwałtownym wybuchnie.

— Nie można go ze mną równać? Jesteś nazbyt szczerą Jenny! W twoich oczach naturalnie pan Servigny nie ma sobie równego na świecie, do niego nie byłabyś przystąpiła z podobną propozycją, żeby za pieniądze wrócił ci słowo dane. Daj pokój! oszczędź sobie słów zaprzeczających, które widzę na ustach twych zawieszone. Cała twoja natura wzdryga się na myśl podobną! Jemu nigdy! ale mnie — tu skończyło się wszelkie hamowanie i powstrzymywanie, dawna dzika namiętność zrywała znowu wszelkie tamy, wyrzucając z głębi piersi potok słów jak lawa płomienistych — mnie śmiesz coś podobnego proponować! Mnie posądzasz, że mógłbym przyjąć ten handel nikczemny! Mnie! dumnego Alisona, śmiesz traktować jak lichwiarza podłego, który ma na sprzedaż słowo, honor, uczciwość, wszystko! wszystko! Na Boga! Jenny, tę ostatnią obelgę srogo odpokutujesz! (Dok. n.)

ŻÓŁTA RÓŻA.

NOWELLA Z FRANCUZKIEGO PRZEZ HALINĘ.

(C. d.) — Patrzcież na tę cudną różę! — zaśmiał się Hektor Teissier ironicznie i z pewną niechęcią.

Podczas rozmowy, Françis rozpakowywał swój kuferek, aby przebrać się do obiadu. Z kieszonki bocznej wypadła w tej chwili na posadzkę, gałązka żółtej róży. Młodzian spojrzał na nią okiem zdziwionem i podniósł szybko z ziemi.

— Mówisz o różach — rzekł po chwili. — Oto jedna z nich, która jakby umyślnie znalazła się w tej chwili, by mi przypomnieć, całą niegodność moją przyjęcia na siebie ciężkich obowiązków stanu małżeńskiego. Widzisz kochany Hektorze, jakkolwiek na trzpiota wyglądam, mam w gruncie rozum doskonały i serce wcale nie złe. Gdy raz się ożenię, chcę moją żonę kochać szczerze, pragnę ją uszczęśliwić, a nawet... nawet, postanowiłem być jej wiernym. Aby jednak zaryzykować czyn tak heroiczny, trzeba przedewszystkiem wychylić do dna czarę rozkoszy

życia kawalerskiego, by mię później chętka nie zebrała, znowu do niej usta przytknąć. Chciałbym nawet znaleźć trochę mętów na spodzie, tym słodszym i ponętniejszym wydał by mi się nektar czystych rozkoszy małżeńskich.

— Co ma wspólnego, ta twoja czcza paplanina, z owym szkaradnym kwiatem koloru tabaczkowego? Domyślam się, iż go dostałeś od jakiejś dobrze już podżyłej piękności, w dowód niezmiennej przyjaźni i szacunku.

— Szkaradny kwiat — powtórzył Françis z oburzeniem, podnosząc go zwolna do ust, jakby w chęci złożenia na nim pocałunku — miał on jak róże o których mówi Malherbe „poranek życia i piękności“. Dziś zwiędła i bezbarwna, róża ta jednak mimo iż zapach straciła, wydaje dla mnie rodzaj woni, którą bym nazwał filozoficzną. Przypomina mi moją słabość, przemawia do mnie nader mądrze i moralnie. Jednem słowem, wiesz co ona do mnie mówi?

— Nie urodziłem się na Wschodzie, żebym umiał z kwiatami rozmawiać — odrzucił Teissier z niecierpliwością.

— Tak się do mnie odzywa: „Nie żeń się kochanku! Jeszcze dla ciebie o wiele zawcześnie myśleć o tak świętych rzeczach“. To jednak długa historja. Nie chcę ról zamieniać. Przyjechałem, by być ci wiernym druhem, powiernikiem, doradcą. Tobie więc przysłuża prawo, bawić mnie opisywaniami, opowiadaniami, egzageracjami i aberacjami, które zawsze są dozwolone zakochanym, przez wzgląd na stan wyjątkowo chorobliwy, w jakim znajduje się ich mózg i serce. Uzbroiłem się w cierpliwość Joba, więc się nie wstydź i pozwól sobie, ja wszystko chętnie wysłucham. Dotąd nie powiedziałeś mi nawet, jakie oczy ma panna Melania, czarne czy niebieskie?

— Lepiej opowiedz mi twoją historję, rozproszy może trochę moje nader smętne myśli. P. Simart dotąd nie wrócił, Melanja wyszła także gdzieś ze swoją kuzynką. Masz więc dosyć czasu, opowiedzieć twoją historję przed obiadem.

— Dobrze — odrzekł Dramond, kończąc tymczasem toaletę, którą dobierał starannie, by całość wypadła zadowalniająco. — A więc... temu mniej więcej trzy miesiące, Beyraud którego znasz, Merville i kilku jeszcze innych poczciwych i wesołych chłopców, umyśliliśmy pójść zabawić się na bal „O p e r y“. Zanotuj sobie — bawić się na balu „O p e r y“. Aby powziąć zamiar podobny, trzeba być porządnie pijanym. Byliśmy też w tym błogim stanie, muszę im i sobie oddać wszelką sprawiedliwość. Nie myślę przecież o stanie wstrętnym, bydlęcym, w jakim znajduje się motłoch uliczny po wódce, ale o tej rozkosznej egzaltacji, o tym nastroju nerwowym pełnym dreszczy tajemniczych, którego doznajemy po doskonałym obiadku u Véfour'a, zlanego obficie wytrawnym Burgundem i Champanem, w lodzie zamrożonym. Takich delicji, mogą tylko doświadczać chłopcy jak my porządni, zdrowi na ciele i umyśle.

W tem więc usposobieniu, śmiałem aż do zuchwałości, weszliśmy na redutę. Z głową do góry podniesioną, głośno rozprawiając, potrącaliśmy mężczyzn łokciami, a kobietom prawili grzeczności, których li na reducie i po pijanemu pozwolić sobie można. Szukaliśmy awantury jak ów wilk w bajce; ale on był naczczo, a my po dobrym obiedzie, my więc byliśmy winniejsi od niego. Nawet... o zgrozo! kilku porobiło sobie korkiem ogromne wąsy, a ja i Merville, ustroiliśmy nasze fizjonomje w nosy potężne, chcąc jeszcze przesadzić naszych towarzyszów. Brano nas na pewno za krawców używających uciech karnawałowych i każdy omijał nas z daleka. Dzięki tej bezkarności puściliśmy wodze wesołości szalonej, i co prawda, wielce impertynenckiej.

Co do mnie, miałem nie długo dosyć tego hałasu. Wstydziłem się mego nosa, jak ten książe, w powieści „T y s i ą c n o c y i j e d n a“, który nos swój woził taczkami, nie śmiałem jednak pozbyć go się teraz; tyle nabroiwszy, bałem się by mnie nie poznano. Wyszedłem z sali, a chodząc po korytarzu, zaglądałem kolejno do lóż, przez okienko, nad zamkiem umieszczone. Prowadziłem dalej tę pielgrzymkę, dość niedorzeczną, wchodząc coraz wyżej, by wreszcie zatrzymać się przy loży na trzeciem piątrze. Dwie kobiety w niej siedziały; jedna słuszna i szczupła, druga mniejsza, lecz o formach cokolwiek wydatniejszych. Miały zupełnie jednakie czarne domina, tylko niższa miała na rękawiczce kosztowny pierścień ze szmaragdem w brylanty oprawnym, tamta zaś żółtą różę w ręce trzymała.

— Tę oto różę! zgaduję ciąg dalszy — przerwał Teissier.

— Nic nie zgadujesz! Dwie kobiety same, szczególniej na reducie, nie są tak bardzo imponujące. Zmęczony długiem staniem, szczęśliwy byłem ze sposobności, by odpocząć i ubawić się przytem. Drzwi były na pół odchylone, jakby zapraszały do wejścia. Wszedłem więc nie namyślając się dłużej. Na odgłos moich kroków, oba domina naraz główki ku mnie zwróciły, a pierwsza, ta wyższa, lekko krzyknęła, co ja naturalnie przyjąłem jako wyzwanie i ośmielenie do rozmowy. Zasiadłem też na dobre i zacząłem im pleść rzeczy niestworzone, jakie zwykle ma się na języku w ostatni wtorek zapustny. Nie długo czekałem na skutek pomyślny. Z początku milczące i trochę przestraszone, powoli oswoiły się ze mną, a poszeptawszy sobie do ucha i pośmiawszy się serdecznie z moich konceptów, zaczęły mi odpowiadać i ogólna rozmowa nastąpiła. Szczególniej domino z żółtą różą, brało w niej udział z żywością taką szczerą, taką swobodną, że gdyby to nie było na reducie, byłbym ją wziął prawie za naiwność. Druga, może dla tego że starsza i doświadczeńsza, starała się od czasu do czasu powstrzymać swą towarzyszkę, kładąc jej na uszko jakieś napomnienia, które atoli nie wielki skutek odnosiły. Wtedy obie wychylały się z loży i patrzyły na dół, wodząc okiem po sali, jakby chciały przerwać rozmowę, lub wyglądały i szukały kogoś, którego z pewnym niepokojem oczekiwały.

Między dwiema maskami, wybór jest trudny, ja jednak wybrałem bez namysłu na wypadek, gdyby ta awanturka doczekała się jakiegokolwiek rozwiązania. Nieznajoma, która wzięła za godło żółtą różę, sama z siebie była wiosny obrazem. Biła od niej jakby woń świeżości i młodości, śmiech jej był srebrzysty, głos czysty i melodyjny, ruchy żywe, rozumek bystry i niepospolity, odpowiedzi pełne dowcipu. Byłem pewny że jest prześliczną.

Nie badając dłużej, darowałem jej moje serce na resztę zabawy, a zwrotem całkiem naturalnym, zacząłem nienawidzić jej towarzyszkę. Mimo, że miała kształtną kibić i ruchy eleganckie, wyobrażałem sobie koniecznie, że jest starą i brzydką „Duenną“. Niech sobie Bóstwo kocha liczby nieparzyste; kochankowie nie lubią ich z tysiąca przyczyn. Ponieważ w tej chwili więcej myślałem o miłości, niżeli o Bóstwie, przeklinałem w duszy świadka natrętnego, którego nie wiedziałem jakby się pozbyć, gdy potężne uderzenie pięścią zatrzęsło drzwiami, tak, że aż moje dwie towarzyszki, podskoczyły na krzesłach ze strachu.

— A ba! jest tu miejsce dla nas dwóch — odezwało się coś chrypliwego, podobniejszego do miauczenia kota, niźli do ludzkiego głosu.

Obróciwszy się, zobaczyłem twarz czerwono-granatową Merville'a i nos przyprawny, którym chciał przebić okienko.

— Nie otwieraj pan! — zawołały przestraszone kobiety.

Byłbym zapewne posłuchał, gdybym nie był zrobił w tej chwili obrachunku następującego: Jeden a trzy — cztery; zatem gdy będzie nas czworo, będzie właściwie dwoje.

Otworzyłem więc aby znaleźć w nim sprzymierzeńca. Niestety popełniłem głupstwo kolosalne! Merville od tego czasu upił się jak prosty szewc koniakiem. Język chodził mu w pantoflu, oczy miał na wierzch wysadzone, był to człowiek stracony! przynajmniej na godzin dwadzieścia cztery. Znając jego brutalność w takich wypadkach, przeczuwałem scenę najnieprzyjemniejszą, której nie mogłem już uniknąć. Nie długo istotnie na nią czekałem. Merville wszedłszy, upadł z całej siły na krzesło przy drzwiach stojące i nie zważając na znaki, które mu dawałem, zaśmiał się najprzód na pół bezczelnie, na pół idjotycznie, odsapnął głośno, jak odyniec zmęczony i zwracając się do pań, palnął im taki komplement, że te zerwały się równocześnie, jak oparzone.

— Otwórz nam pan natychmiast! — zwróciły się do mnie, a głos im drżał od gniewu i strachu.

Odwróciłem się by rozkaz wykonać. Nie potrafiłbym uchybić kobiecie, nawet na balu Opery we wtorek zapustny.

— Czyś oszalał? — ryknął Merville głosem pijackim. — Z jakiegoż to klasztoru wyszły te dwie księżniczki? Chyba że brzydkie i stare, w takim przypadku życzmy im szczęśliwej drogi; lecz jeżeli ładne, toć przecie nie odmówią śniadanka kawalerskiego. Umieram z głodu i pragnienia. A więc moje aniołki, precz z maskami!

Groził nie tylko słowem, lecz i giestem; jedną więc ręką przybiłem go do krzesła, drugą drzwi otworzyłem. Kobiety rzuciły się we drzwi jak sarny spłoszone. Wściekły podobnem rozwiązaniem, pijak podniósł się ruchem gwałtownym mimo mojej ręki, która go wzięła jak w śruby, wyciągnął ramię ku uciekającym i przypadkiem, czy też umyślnie zaczepił o maskę jednej z nich, zdzierając ją z twarzy. Domino z żółtą różą, bo tę właśnie zdemaskował, żywo się obróciło. Osłupiałem na widok cudownej tej piękności. Twarzyczka świeża jak pączek róży promieniała wdziękiem niewypowiedzianym, oczy lśniły jak djamenty. W tej chwili jednak gniew i oburzenie najwyższe czytać w nich było można. Nie długo trwała moja niema kontemplacja. Jedno mgnienie oka, a donośny policzek, którego by się nie powstydziły heroiny Molierowskie, zagrzmiał na licu Mervilla, maska napowrót okryła twarz rozgniewaną i jednym susem moja piękna nieznajoma była już za drzwiami, ktore z całą siłą za sobą zatrzasnęła. Merville zachwiał się i runął na krzesło jak dąb podcięty.

— Krocśtotysięcy djabłów!... policzek... mój najlepszy przyjaciel... pojedynek na śmierć... okropny policzek! — bełkotał Merville za twarz się trzymając.

Nie byłem ciekawy słuchać dalej wykrzykników bezsensowych mojego towarzysza, któremu nauczka ostra wprawdzie, lecz zupełnie zasłużona, resztę zdrowych zmysłów pomięszała. Wypadłem na korytarz. Moja piękna nieznajoma znikła tymczasem wraz ze swoją towarzyszką. Na pierwszym załomie wschodów znalazłem tę oto różę, wskazującą mi kierunek, w którym poszły; wkrótce jednak tłum masek zastąpił mi drogę i uczynił dalszą pogoń niemożliwą. Po dwóch godzinach strawionych na daremnem poszukiwaniu, porzuciłem bal nie troszcząc się więcej o moich towarzyszy, i powróciłem do domu rozmarzony, zachwycony cudowną twarzyczką, którą miałem zaledwie czas objąć oczyma, z takim dziwnym niepokojem w sercu, jak kiedym szedł na pierwsze rendez-vous lub gdym studencikiem wykradł się cichaczem na pierwszy bal maskowy. (C. d. n.)

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

† **Ludwik Napoleon Bonaparte.** Bonapartystów dotknął cios straszny, może stanowczy; książe Ludwik Napoleon poległ, w rekonesansie przeciwko Zulusom, przeszyty 18-tu oszczepami.

W owej Afryce, w której dziad jego pod piramidami Egiptu okrył się aureolą sławy, torującej mu drogę do najwyższych potęgi szczytów, w tej samej Afryce padł śmiercią żołnierza młody książe, ostatni pretendent do tronu Francji z rodziny Bonapartych.

W skromnym stopniu oficera sztabu obcej armji, zginął z ręki dzikiego kafra Ludwik Napoleon, zginął jak przystało potomkowi wielkiego wojownika, podczas gdy otoczenie księcia pierzchło sromotnie.

Książe Ludwik stał się ofiarą tradycyjnego w armji angielskiej lekceważenia służby forpocztowej, będącego wynikiem owego komfortu, w którym tak oficer jak i żołnierz otaczają się nawet w wojnach z dzikiemi ludami.

Trzeci to już Bonaparte kończy życie pod sztandarem Wielkiej Brytanji.

Nad głową Napoleona I. powiewał ów sztandar z nagich skał św. Heleny, jak z baszty więziennej.

Napoleon III. na ziemi Brytanji znalazł schronienie i spokój tyle pożądany upadłym wielkościom; wszak w Chislehurst leżą jego prochy...

Syn zapomniał krzywdy dziada, pamiętał tylko, że naród angielski gościnnością otoczył jego ojca i własną krwią spłacił dług zaciągnięty.

Ludwik Napoleon urodził się dnia 16go marca 1856 roku.

Dzień urodzin księcia obchodzony był wówczas w całej Francji z niezwykłą uroczystością.

Wychowaniem księcia kierował początkowo ojciec, później zajął się nim gorliwie ochmistrz dworu, jenerał Frossard.

Książe prowadzony był podobno nader pedagogicznie, z rygorem wojskowym.

Z chwilą wybuchu pamiętnej wojny fruncuskiej znalazł się on w obozie francuskim.

Pod Saarbrücken słyszał po raz pierwszy ryk dział...

Po upadku ojca, książe osiadł wraz z nim Chislehurst gdzie przygotowywał się do egzaminu na stopień oficerski, aż wreszcie dostał się do akademji w Woolwich.

Jego krótka podróż po Europie i niedoszłe do skutku małżeństwo z księżniczką duńską — stały się dlań źródłem goryczy.

Obiad u Lorda-majora w Londynie. Dla uczczenia delegatów kongresu literackiego, oraz odbywającego się obecnie kongresu telegraficzno-europejskiego w Londynie, wydany był obiad w pałacu Lorda-majora Sir Charles Whethama w City dnia 14. czerwca b. r.

Osób zaproszonych było przeszło 250, a pomiędzy temi mnóstwo nazwisk ogólnie znanych ludzi znaczenia i zasługi.

Trudno zaiste dać wyobrażenie o ładzie i porządku, jaki tam panował przy zjeździe tylu powozów i przybywaniu tak znacznej liczby osób.

Rozstawiono masę policmanów, urzędników i służby, tak, że każdy wysiadający z powozu spotykał co krok jakąś osobistość wskazującą mu drogę, i co miał dalej czynić.

Przedewszystkiem więc, po odebraniu w kontramarkarni paletotów i kapeluszy, które na wszelkich przyjęciach angielskich trzeba złożyć u wejścia, wręczono każdemu z gości ogólny plan sali jadalnej, z rozkładem miejsc, i drukowanemi b e z ż a d n e g o b ł ę d u imionami i nazwiskami, pomiędzy któremi wszakże wiele było dziwnie brzmiących dla ucha angielskiego i angielskiej pisowni; dla usunięcia pomyłki, miejsce na którem każdy z zaproszoych miał usiąść, oraz jego nazwisko, podkreślone było czerwonym ołówkiem.

Wraz z planem, wręczono każdemu z zaproszonych nader ozdobny jadłospis. Po otrzymaniu tych szacownych dokumentów, gość wychodził na środek ogromnej i wspaniale przyozdobionej sali, gdzie się łączył z kołem zaproszonych.

W głębi sali stał lord-major w czerwonym fraku i z brylantowym orderem na szyi. Obok niego z prawej strony w kołpaku sobolowym i z ogromnym mieczem w ręku, na oznakę przyznanej kiedyś lordowi-majorowi sądowej władzy w City, stał w tradycyjnym stroju urzędnik merostwa, z lewej zaś inny urzędnik w pudrowanej peruce i w również wspaniałem przystrojeniu trzymał ogromne złote czy też złocone berło, widocznie bardzo ciężkie, tak, że ledwie je dźwigać mógł, zakończone koroną oznaczającą wysoką, królewską prawie godność lorda-majora. Dalej aldermanowie, szeryfi, oraz inni urzędnicy, również wspaniale przystrojeni, szczególniej jeden z nich, na którego aksamitnym fraku błyszczały ogromne guzy brylantowe niepośledniej wartości.

Do każdego z nowoprzybywających zbliżał się urzędnik lorda-majora, prosząc o wymienienie imienia i nazwiska. Imię to i nazwisko szeptał następnie w ucho sekretarzowi lorda-majora i gość wchodził w środek koła prowadzony przez sekretarza, który głośno imię jego i nazwisko wymieniał.

Wówczas lord-major po wymienieniu ukłonów podawał gościowi rękę, oświadczając w kilku wyrazach, że jest bardzo szczęśliwym widząc go u siebie, wymieniano drugi ukłon i gość wracał do szerszego grona zaproszonych.

Tak się odbyło przedstawienie wszystkich tam obecnych, z których znaczna część miała piersi tak obsypane wstęgami, gwiazdami i orderami, że dalibóg próżnego miejsca trudno się było dopatrzeć.

Kiedy już ostatni przybywający przeszedł przez ręce dwóch sekretarzy, echa salonu odbiły brzmienie ostatniego nazwiska, otworzyły się drzwi sali jadalnej i wszyscy z lordem-majorem na czele udali się na ucztę.

Gospodarz usiadł w samym środku głównego stołu na wspaniałym fotelu tronowego kształtu, mając po prawej stronie hrabiego de Lieders, prezesa kongresu telegraficznego, po lewej zaś hrabiego de Lesseps, któremu w owym dniu przypadło przewodnictwo kongresu literackiego, a zarazem wszyscy goście zajęli z góry oznaczone miejsca.

Za lordem-majorem ustawiło się rzędem czterech drabów od stóp do głów srebrem szamerowanych, a inni lokaje stali tak gęsto, że jeden z nich (oprócz podających potrawy) brał w opiekę każdego z trzech gości, nalewał mu wino, zmieniał talerze i wszelkie posługi oddawał na skinienie.

Za krzesłem lorda-majora stał również ów sekretarz o którym wspominaliśmy; chłop to wysoki jak Marjacka wieża, barczysty, olbrzym jednem słowem, a obdarzony tak tubalnym głosem, że każdy przez niego wymowiony wyraz we wszystkich końcach sali slychać było.

Sekretarz więc począł od tych słów:

„Milordowie i panowie, lord-major odmawia modlitwę!"

I rzeczywiście, wszyscy powstali...

Lord-major odmówił kilka słów modlitwy, co jest koniecznym zwyczajem na ucztach angielskich i zabrano napowrót miejsca.

Nie będziemy wspominać o licznych toastach, które szły z góry oznaczonym porządkiem, począwszy od toastu na cześć królowej wygłoszonego.

Toast ów wznoszony był przez podawanie sobie z rąk do rąk ogromnego, złotego, kunsztownie wyrobionego kielicha, w którym każdy pijąc do drugiego maczał usta, a następnie podając kielich w ręce następnego, brzeg kielicha, który ustami dotknął, serwetą obcierał.

Za każdym toastem, ów stentor, za fotelem lorda-majora stojący, oświadczal, że ten lub ów ma wznieść taki lub owaki toast.

Obiad rozpoczęty modlitwą, modlitwą się również zakończył.

Kiedy podano kawę, cygara i likiery, zawiązały się liczne kółka, zapoznawano się wzajemnie, podawano sobie na znak przyjaźni ręce i rozpoczęła się nader ożywiona i serdeczna rozmowa.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.